



Wieś Karpniki istniała w odległej przeszłości jako podzameczek zamku Sokolec w Górach Sokolich i dlatego nazywano ją dawniej Podsokolec, a potok, który tu przepływał - Sokolską Wodą lub Sokółówką. Te dwie nazwy na pewno by przetrwały do dziś, gdyby Sokolec nie zmienił się w porośniętą mchem, trawą i lasem ruinę i gdyby obok wsi nie został zbudowany nowy zamek pana tej okolicy, otoczony z jednej strony bagnami Gruszkówki, a głęboką fosą z drugiej.

Nie wiemy nic o murarzach, którzy z wielkim trudem wzniesli z miejscowego kamienia obronny zamek z czterokątną wieżą i niewielkim dziedzińcem, otoczony z trzech stron kurtynowym murem. Nie wiadomo jak zwał się rycerz, który nakazał go zbudować, ani też nie wiemy nic o ludziach, którzy przy pomocy metalowych motyk kowalskiej roboty i drewnianych łopat wykopali w kamienistym i wilgotnym gruncie głęboką fosę, którą później napełniono wodą. Można się jedynie domyśleć, że właścicielem był człowiek mądry i gospodarny, bo zanim zamieszkał w swej nowej siedzibie, do wody wpuścił jakieś ryby, nieznane miejscowym ludziom, sprowadzone z dalekiej Saksonii, które po obcemu nazywano "karpfami", a na które ludzie później mówili "karpie".

Rozpowiedział wszystkim, że karpfy swą wielkością i wagą prześcigają znacznie inne ryby żyjące w miejscowych rzekach i potokach oraz szczupaki hodowane od wielu już lat w stawach zbudowanych przez mnichów-cystersów obok wsi Cieplice, nad ciepłymi źródłami. Od tego czasu żyły karpie w wodzie, w zamkowej fosie, karmione grochem i kaszą. Stół w zamku zdołał w każdy piątek oraz gdy pan swych gości przyjmował.

Przez wiele lat nikt z podgródzia tych ryb nie podkradał, zadowolając się innymi, gdzie indziej łowionymi, ponieważ ksiądz-dobrodziej z ambony w kościele niejednemu raz zapowiadał, że owe karpfy są rybami stworzonymi przez Boga wyłącznie dla osób szlachetnie urodzonych oraz dla duchownych, którzy z Panem Bogiem na co dzień obcuja, a człek nieurodzony oraz niewolny, który do służenia królom, książętom, panom - rycerzom i klasztorom jest stworzony, nie może jeść tej ryby, bo zawiera ona groźne dla niego wapory, które gdy brzuch jego wypełnią, spowodują tak ogromne bóle, że żadna "mądra baba" ich nie zdołała uśmierzyć ani zamówić. Wyjaśnił dobrodziej również, że wapory zawsze próbują wydostać się z wnętrza brzucha i rozrywają go na drobne strzępy, jak przegniły miech zbożowy, do którego nałoży się pełno kamieni.

Wierzono słowom księdza - dobrodzieja długo, aż do czasu, gdy przybył do zamku w gościnę rycerz niebogaty, bo tylko z jednym pacholkiem na mizernej kobyle. Ten właśnie pacholek, chociaż z nieurodzonych się wywodził, kilka z przyzaskowych karpów nocą ukradł, wypatroszył, w chacie zanikowego cieśli cichcem na ogniu upiekł i zjadł. Przez pięć nocy jeszcze potem to samo czynił bez obaw wszelkich i nie skonał, chociaż spodziewali się tego ludzie, którzy o tym wydarzeniu wiedzieli. Od tego czasu wszyscy okoliczni mieszkańcy zaczęli nocami wykradać z fosy przy murze zamkowym ryby, by swe ubogie wyżywienie nimi uzupełnić. Jednak którejś księżycowej nocy dostrzegł to strażnik na wieży zamkowej służbę pełniący i panu zamku o tym fakcie zameldował, a ten zaraz nakazał zgromadzić wszystkich mieszkańców podzamcza i kradzieży zakazać. Zaznaczył równocześnie, że przyłapanych surowo karać będzie i nie karą pręgierza, czy też chłosty, lecz gardłem i palcem przy tym odpowiedni ruch na swej szyi wykonał, stryczek oznaczający.

W trzy dni później ujeli strażnicy syna pewnej wdowy, która pracowała jako pracznica w zamku i powiedli go w dybach do pana, a ten dla odstraszenia innych poddanych i okazania surowości, wydał polecenie, aby niezwłocznie powiesić tego chłopaka na gałęzi jednego z drzew, rosnących przed bramą wjazdową. Nie pomogły prośby chłopca o litość i zmiłowanie, ani też jego przysięgi, że już nigdy ryb kraść nie będzie. Nie pomogły też błagania ani łzy jego matki. Złodziej został powieszony w samo południe, gdy słońce stało w najwyższym miejscu nad horyzontem, lecz tejże samej nocy przyśnił się panu zamku. Przyszedł do niego wraz z matką i przyciągnął do sypialnej komnaty olbrzymiego karpia na grubym powrozie. Gdy ryba patrzyła na zdumionego i przerażonego jej widokiem rycerza swymi olbrzymimi oczyma, które miała tak wyłupiaste jak żaba, chłopak oznajmił, że odchodzi wraz z matką ze swej ubogiej chaty na podzamczu i że zabiera ze sobą ryby z zamkowej fosy.

Potem opuścili wszyscy komnatę sypialną, a pan obudził się przestraszony i spocony tymi sennymi widziadłami. Jakieś dziwne przeczucie nakazało mu natychmiast wstać, ubrać się i wyjść nad fosę, a gdy to uczynił, w blasku księżyca dostrzegł przedziwne widowisko. Wszystkie karpie wyskakiwały z wody na brzeg fosy i szeroką, jezdnią drogą zaczęły oddalać się brzegiem bagnisk Gruszkówki w stronę ujścia tego potoku do Sokolskiej Strugi. Było ich tysiące. Nie mógł ich policzyć i nie mógł uwierzyć własnym oczom, że aż tyle mieściło się w zamkowej fosie. Zrozumiał, że ryby będące jego własnością i stanowiące ulubiony przysmak jego i przybywających do niego gości, odchodzą w nieznaną dal. Zaczął biec za nimi, a potem stanął na ich drodze i krzyczał, aby zwracały do wody w fosie. Nie pomogło to jednak. Płynęły dalej w obranym przez siebie kierunku obok jego stóp, nie reagując zupełnie na jego gesty i krzyki. Zdenerwował się więc ogromnie i ze złości zaczął deptać je stopami odzianymi w miękkie, skórzane buty, wykonane z błyszczącej, safianowej skóry.

Legenda o karpkach z Karpnik

Wpisany przez Adam Szumowski

środa, 08 czerwca 2011 17:08 - Poprawiony piątek, 17 czerwca 2011 13:16

- Nigdzie nie pójdziecie! - krzyczał głośno. - Zadepczę was wszystkie na śmierć!

W tym momencie poczuł na swoim ramieniu dotknięcie czyjejś dłoni i odwrócił się. Dostrzegł stojącego obok siebie chłopaka, tego samego którego kazał powiesić wczoraj i który niedawno był w sypialnej komnacie. Dostrzegł też i jego matkę, stojącą w pobliżu, a w jej oczach zobaczył w blaskach księżyca łzy.

Chciał krzyknąć do nich, by powstrzymali oddalające się karpie, lecz nie zdążył wypowiedzieć ani jednego słowa. Poślizgnął się, stając na jednej z ryb, upadł i stracił przytomność, uderzając głową o wystający w tym miejscu z ziemi kamień. Jak długo leżał na ziemi, nie wiedział, lecz gdy przyszedł do siebie, stwierdził, że znajduje się na drodze w pobliżu zamku, na której widniały setki śladów pełzania ryb i śluzu opadłego z ich skór. Zobaczył, że i jego odzież również jest pokryta śluzem i przesiąknięta zapachem ryb.

Ponieważ poczuł się bardzo osłabiony, chwiejnym krokiem ruszył w stronę zamku, zataczając się jak pijany. Dotarł ostatkiem sił na dziedziniec i natychmiast rozkazał zaprowadzić się do sypialni. Tam rozebrano go, obmyto i ułożono w łożu. Biła od niego wielka gorącość. Posłano natychmiast po medyka do Jeleniej Góry. Nie doczekał się jednak jego przybycia. Zmarł tego samego jeszcze dnia. Ostatnie jego słowa brzmiały: "Moje karpie!".

Ludzie grupę chat, stojących na podzamczu, nazwali Karpnikami, gdy ta rozrosła się do rozmiarów wsi, a potok pośród tych chat płynący - Karpnickim Potokiem.

Źródło: Urszula i Aleksander Wiąckowie: "Legendy Karkonoszy i okolic"
